jutrzenka

dodatek tygodniowy „expresu zagłębia" dla dzieci i młodzieży

pod redakcją czarnego wujaszka

Rok III. Sosnowiec, niedziela 20 lutego 1938 r. Nr. 24



Bandera polska od lat 18tu dumnie powiewa nad brzegiem Bałtyku

Rozszumiało się morze w dzień mroźny,
rozszumiało donośnie, bez słów.
— już od dziś mi żaden wróg nie groźny,
broni polskich brzegów — polski huf.

Fale lśniące w słonecznej pozłocie,
coś gwarzyły całe w lśniących łzach
o czekaniu, o długiej tęsknocie
i swoich już ziszczonych snach.

Rozszumiały się legendą fale,
od żołnierskich odpływając stóp,
by w świat szumem roznieść jaknajdalej,
że wieczysty wzięły z Polską ślub.

LUTY

Siedział Czas i dzionki jak paciorki lśniące liczył, odliczał miesiące.

A że równe trzydzieści naraz w ręce się mieści, więc nadto sobie dowierzał, nie liczył, tylko garścią je przemierzał.

Przyszły miesiące i dzień każdy, co jak paciorek świeci, na najmocniejsze nici nawijają posłusznie, pracowicie, ukończyły robotę o świcie.

Sprawdza Czas i drżącą ręką liczy pręciuteńko, prędko.

Tfu! co za psoat, taka robota.

Każdy miesiąc z dni trzydziestu lub trzydziestu jeden ma wieniec, tylko luty taki jakiś odmieniec. Z lewa w prawo, czy z prawa w lewo się rachuje, zawsze te dwa dni brakuje.

Stoi luty jak struty, patrzy trochę zuchwale, czeka, co będzie dalej.

A Czas stary — sędziwy i już troszeczkę leniwy, rzecze:

„Wielkie mi zmartwienie, już Cię teraz nie odmienię, ucieszą się ludziska i wszystkie zwierazk, żeś ty zimowy miesiąc, a króciutki taki".

Luty ze złości aż blady, sam poszedł prosić sąsiady:

„Styczniu, na twoim wianku, jeden dzień zadużo, oddaj mi go, a inne niech ci zdrowo służą".

Na to Styczeń:

„Ho! jaki madrala, Czas nic zmieniać nie pozwala, a zresztą i tak nie mogę, bo za chwilę ruszam w dorgę"

A luty dalej:

„Marcu, Marcu! u Ciebie jak w garncu, przemieszana pogoda ze słotą, odstąp jeden dzionek, moje złoto".

„Toż to kpiny, nie oddam ani godziny".

Marzec krzyczy:

A tu miesiące w prześmiechy i drwiny: — Kusy Luty, Kusy Luty, a to ci nowina.

Tedy Luty ze złości jeszcze bardziej pobladły krzyczy, że mu sąsiedzi po jednym dniu ukradli.

Zrobił wiele hałasu, poszedł do sędziwego Czasu.

Skarży się głosem drżącym:

„Śmieją się ze mnie miesiące, przejść spokojnie nic dają. Kusym Lutym nazywają".

Czas na to:

„Wciąż Ci mało, tu z rachunku mi zostało jeden dzień na cztery lata, weź go i dziurę załataj".

Wziął Luty ten dzień czemprędzej, no... chociaż o jeden więcej, lecz... jeden na cztery lata... a to mi Czas figla spłatał. Co to będzie za nieszczęście, gdy tego dnia wypadną urodziny lub zamężcie, toż do następnej rocznicy, aż trzy latka trzeba liczyć.

Poszedł do Roku, który straż nad miesiącami sprawia, o tym wszystkim z nim rozmawia, opowiada... opowiada... biada...

„Ach, to wcale nie pięknie" — Rok jęknie. — „Będę z tego zamieszania, zamęty, powiedzą żem Rok przestępny.

Ale chcesz, czy nie chcesz, gdy Czas ci go dał, to bierz".

Odszedł Luty, jak struty, a tu Styczeń spracowany, powraca i wo ła zmiany.

Poszedł Luty zły i bardzogroź ny, z wszystkich miesięcy najbardziej mroźny. Wciąż zły, że ma dni za mało.

I tak na zawsze zostało.

Janina Kunicka.

Dziwna choroba Lili

Lili mieszkała w słonecznej willi za miastem. Z okien pokoju miała piękny, obszerny widok, ale Lili nie lubiła wyglądać oknem. Tam na dworze było radośnie i wesoło, park roił się od dzieci, bawiących się całymi dniami, a ona nie mogła być razem z nimi.

Od dłuższego czasu była chora i nie opuszczała swego pokoju. Lekarze nie mogli rozpoznać tej dziwnej choroby, Żadne lekarstwa, żadne środki nie mogły dodać Lili ani sił, ani ochoty do życia. Wyraz smutku i zniechęcenia nie schodził nigdy z jej bladej, zmęczonej twarzyczki. Napróżno rodzice, kochający nad wszystko i rozpieszczający swą jedynaczkę, pragnęli ją rozerwać i rozweselić. Nie bawiły jej ani cudne lalki, ani książki, ani śliczne sukienki. Dlugie dni spędzała leżąc, a jej wykrzywiona bolesnym grymasem twarzyczka z każdym dniem była bledsza.

— Skąd się wzięła ta okropna choroba? — pytali ze zdziwieniem znajomi.

A choroba zaczęła się od drobnego i niezrozumiałego wydarzenia.

Lili była wesołym, zdrowym dzieckiem. Ponieważ każda jej zachcianka, każde skinienie zawsze spełniano, była bardzo rozpieszczona. Pewnego razu zdarzyło się, że ogródka, gdzie Lili bawiła się pod opieką niani, weszła niepostrzeżenie mała, nędznie odziana dziewczyna. Zbliżyła się i jak urzeczona wpatrywała się w wielką śliczną lalkę, która leżała na trawie, rzucona niedbale. Nagle nachyliła się i podniosła lalkę.

— Taka cudna, a poniewiera się na ziemi — pomyślała.

W tym momencie Lili spostrzegła, że jakaś obca dziewczyna trzyma w ręku jej zabawkę.

— Połóż to zaraz — zawołała.

Ale dziewczynka jakby nic nie słyszała stała bez ruchu wpatrzona w lalkę.

— Daj mi w tej chwili lalkę, ty przybłędo, przecież ją zabrudzisz! — krzyknęła nie przyzwyczajona do sprzeciwu Lili. I zanim nieznajoma zdołała wyszeptać, że nie chciała przecież tej lalki zabrać — szarpnęła całą siłą zabawkę i pchnęła dziewczynkę tak gwałtownie, że ta upadła na ziemię. Rozdarł powietrze przeraźliwy podwójny krzyk — upadającej dziewczynki i Lili, która nagle chwyciła się za serce.

Odtąd zaczęła się choroba Lili. Narzekała na ucisk koło serca, mówiła, że czuje stale jakiś chłód i zim

no, chociaż w pokoju było zawsze ciepło i zażywała bezskutecznie różne lekarstwa przeciw febrze.

Była już zimna. W parku dzieci ślizgały się po całych dniach. Lili ciągle jeszcze nie opuszczała pokoju W pewien mroźny, styczniowy wieczór rozpętała się na dworze śnieżna zawierucha.

W pokoju Lili było już ciemno, ale dziewczynka nie mogła usnąć. Słyszała, jak wiatr wył za oknami, targał bez listne gałęzie drzew w parku i rzucał o szyby zmarznięte grudy śniegu. Nagle zdawało się jej że w przeraźliwy, ponury świst wichru wmieszał się jakiś inny obcy głos. Usiadła na łóżku i zaczęła nasłuchiwać. Zapaliła lampkę. Tak, teraz wyraźnie już słyszała, jak tam za ścianą ktoś skarżył się i płakał cienkim, dziecinnym głosikiem.

— Zawołam nianię — pomyślała ale przypomniała sobie, że niania nie pozwala wpuszczać do domu obcych. Zresztą wszyscy już spali. Położyła się znów i próbowała usnąć — napróżno. Nieustannie słyszała ten cichy, żałosny głos.

— Cóż mię to może obchodzić — myślała — zresztą jestem chora. W tej samej chwili wzrok jej padł na obraz, wiszący na przeciwległej ścianie.

— Co to? Biały o śnieżnych skrzydłach Anioł Stróż jakby wychylił się ku niej z ram obrazu. Wyraźnie usłyszała szept.

— Wstań, otwórz drzwi temu dziecku.

— Ależ, ja jestem chora, nie mogę się swobodnie ruszać — pomyślała.

— To nic, ja ci pomogę.

— Przecież ja nie wiem kto tam stoi za drzwiami, ja się boję.

— To dziecko tam zmarznie — zabrzmiało w uszach Lili.

Podniosła się, włożyła gruby szlafrok i miękkie pantofle. Szła ku drzwiom, jakby nie o własnej sile. Czuła, że ją jakieś mocne ramię podpiera. Otworzyła drzwi wejściowe z zatrzasku. Tuż obok drzwi stała w świetle latarni mała, skulona postać Drgnęła i podniosła głowę. Lili zobaczyła twarz dziecka zmarzniętą i zaczerwienioną.

— Ma chyba tyle lat co ja — przemknęło przez myśl Lili — u mnie ciepło, a ona... — i zdecydowała się odrazu: — Muszę jej pomóc. dziwnego. Lili uczuła nagle, że ustąpił gdzieś bez śladu ucisk wewnętrzny i chłód, a jej chore serce, jak by zamienione w kawałek lodu — ożyło.

W tej samej chwili stało się coś Chwyciła za rękę obcą dziewczynkę i wprowadziła ją do mieszkania. W swoim pokoju usadziła gościa przy piecu. Okryła ją i rozcierała jej skostniałe z zimna palce. W domu zrobił się ruch. Światło i odgłos kroków obudziły śpiących. Do pokoju Lili wbiegła mamusia i stanęła zdumiona w progu, widząc, jak Lili krząta się i biega zarumieniona po pokoju, jak gdyby nigdy nie była chora.

— Lili, na Boga, ty jesteś przecież zdrowa! — wykrzyknęła wreszcie.

A Lili podeszła do matki i szepnęła: — Tak mamusiu, ale o mnie pomówimy później. Teraz trzeba się zająć naszym biednym małym gościem.



INSTYNKT MACIERZYŃSTWA U ZWIERZĄT.
Stara kotka karmi małe psięta, które straciły swą matkę.

A BYŁO TO TAK...

Nie wiem, czy mnie znacie. Nie! więc się Wam przedstawię!
Jestem łobuz nad łobuzy.
Lubię płatać figle, psoty.
Trzymam psy, gołębie, kury
I szalenie lubię koty...

Zdradzę państwu tajemnicę...
Poszła mama raz do miasta po sprawunki. Ja zostałem sam w domu. Co tu robić?... Chodzę z kąta w kąt jak ten Marek w piekle, i... nudzę się wściekle; aż mi taka oto myśl wpada: Nastraszę Marcinową. Co, nie znacie Marcinowej! To nasza gospodyni, kucharka i niania w jednej osobie. Marcinowa to dobra kobieta, jakiej w całej wsi nie znajdzie, trochę gderliwa, trochę kłótliwa, ale serce ma czułe jak struna...

Ale... ale, zapomniałem, a miałem opowiedzieć, jak to było z tym nastraszeniem. Było to tak:

Wlazłem pod ławę co stała w kuchni i czekam... idzie Marcinowa kołysze się niby kaczka, a niosła donicę z jajami, bo to było jakoś Wielkanoc, a ja... cap! za spódnicę... A

Marcinowa w krzyk:

— Jezusie Nazareński! złe czy co?... I dalejże uciekać, o próg się potyka i jak nie gruchnie jak długa jak długa na podłogę...

Z doniczy skorupy tył ko zostały... A z jajami co? Nietru dno odgadnąć! Miałem ja za to od swej matki, bo miałem. Bo też była to nieładna psota.

A raz... było to jakoś po Zielo nych Świętach, tydzień czy dwa ty godnie — kupiłem za oszczędzone pieniądze walerianowych liści i gdy zmrok zapadł, zakradłem się pod drzwi alkierza gdzie Marcinowa spa ła i podrzuciłem waleriany.

Nie upłynęła może godzina, a tu kotów coniemiara i koncert taki u rządziły, że aż w uszach bębenki chciały popękać. Na drugi dzień w całej wsi mówiono, iż po Marcinową „biesy“ przyszły.

Tylko, moi kochani, nie wydajcie mnie przed mamą! — bo nikt nie wie, że te „biesy“ — to ja.

„UCIEKNĘ!...“

— Ucieknę! już mam dosyć! ucieknę! — myślał Stefan, ściskając pięści i zagryzając wargi.

Myślał tak wiele razy, coraz częściej. Czasem i mówił. Błyskał ocza mi i zrywał się od stołu z okrzykiem:

— Nie mów głupstw! bierz się lepiej do lekcji! — odpowiadała mu matka.

A przecież on chciał, naprawdę chciał uciec zdomu. Dom!... Dom — to była bieda, smutek, przygnębienie. Wisiało tam stale w powietrzu coś ciężkiego i dusznego. Ojca Stefan nie miał. Matka była wiecznie zapracowana, wiecznie rozbiegana po obcych domach, po schodach, po ulicach. Dawała lekcje muzyki i tak tam jakoś starczyło na nią i na Ste fana, bo i szyła przytem i haftowała. Całe przedpołudnia i późne wie czory ślęczała schylona nad szyciem, całe popołudnia słuchała gam i ćwi czeń swych uczniów. Nie miała cza su dla Stefana. Prawie wcale się z sobą nie widywali, bo przecież Stefanowi do takiego domu się nie śpieszyło. Nikt tam na niego nie czekał z dobrym słowem i uśmiechem. Obiad miał przyszykowany w kuchni ale musiał go sam grzać. Musiał sam sobie przygotowywać kolację. Biegał więc całe dni gdzieś z kolegami, a wieczorem, gdy odrabiał lekcje i wchodziła matka — odpowiadał mrukliwie na jej krótkie „dobry wieczór“, wypowiedziane zmęczonym głosem i znów nachylał się nad książką.

— Niech mi mama nie przeszkadza! — mruczał, gdy matka chciała do niego zagadać.

To i nie próbowała nawet później:

I wtedy poczuł Stefan nagle, że mu jest źle. Zazdrościł kolegom, że mają ciepłe, wesołe, domy i dobre uśmiechnięte matki. „Matka mnie nie kocha!“ — myślał z goryczą i dodawał zaraz: „Dosyć mam tego! ucieknę!...“

Ach, uciec!... Pojechać do Gdyni dostać się na okręt (cóż łatwiejsze-

go? w każdej powieści morskiej tak się zaczyna pełna przygód historia marynarza) i w świat po przygody, przeżycia, po barwwę życia. „Nikt tu po mnie nie będzie płaka'!" — myślał, patrząc z pod czoła na zmęczoną, zobojętniałą twarz matki, schyonlą nad jakąś kolorową serwatką, którą wyszywała.

I uciekł. I siedzi oto zmarznięty, głodny, ale jakoś tak wolny, szczęśliwy, spokojny — w poczekalni dworcowej. Już trzy dni nie, cztery nawet, jak uciekł z domu. Nocował u kolegów, którym opowiedział o swym planie podróży do Gdyni i którzy mu dopomogli. Ma już w kieszeni 20 zł. swych oszczędności z trzech lat. Bilet do Gdyni kosztuje 16 zł. Za cztery godziny odchodzi pociąg. Pojedzie, pojedzie!

Jak ładnie gra to radio w poczekalni. Śliczne te płyty! jakieś kujawiaczki...

— Hallo, hallo radio Poznań. Nadajemy komunikat: W dniu 8 marca oddalił się z domu 14 letni Stefan Słobudzki, zamieszkały przy ulicy Małe Garbary 4. Chłopiec zostawił w domu kartkę z zawiadomieniem, że wyjeżdża do Gdyni. Matka chłopca, która po ucieczce syna ciężko zaniemogła — prosi wszystkich, którzy mogli by udzielić jej jakichś informacji..."

Stefan już nie słuchał. Matka chora, matka chora... Ze zmartwienia! Co teraz zrobi? Lekcji nie będzie, szyć nie będzie, samiutka w domu... Ze zmartwienia... I nagle jakby przejrzał. Zobaczył swą złą, twarz w domu i nieśmiałe spojrzenie zmęczonych oczu matki. „To ja byłem winien. To tylko ja! to ode mnie zależy, żeby w domu było jasno, ciepło i wesoło. O mamo! teraz będę naprawdę twoim synem!.. Jak to dobrze, że mam te 20 zł. Przydadzą się w domu. Będę dawał lekcje, będę pracował, będzie dobrze.

Pobiegł. Ale nie mógł się powstrzymać i kupił malutki pachnący bukiecik fiołków. To dla matki. Dla mamy...

„entliczki-pętliczki"

Dobre rozwiązania nadesłali:

Fredzio Libera z Dąbrowy, Stasio Kantor z Dąbrowy, Barbara Gosiaczewska z Będzina, Krysia z Będzina, Halinka z Będzina, Lodzia Kałatówna z Będzina, Zygfryda Polakówna z Zagórza k. Dąbrowy, Michaś Zientarski z Sosnowca, Antoś Pucek z Grodźca.

Nagrody wylosowali:

Fredzio Libera z Dąbrowy, Halinka z Będzina i Antoś Pucek z Grodźca.

——iiii——

Zagadka

Ułożyła Lodzia Kałatówna.

Pół soli, pół boru
Do tego pół tamy
Zaraz dzień w tygodniu
Z tego otrzymamy.

Kreskówka

Ułożyła „Halinka z Będzina"

✱— — —
✱— —
✱— — —
✱— — — —
✱— — — —
✱— — — — — — — —
✱— — —
✱— — — — — —

W powyższe kreski i krzyżyki należy wpisać odpowiednie wyrazy według podanego znaczenia. Miejsca oznaczone krzyżykami dadzą rozwiązanie. Znaczenie wyrazów: 1) Wzniesienia; 2) okres czasu; 3) góry w Rosji; 4) niewysoka; 5) rzeka w Polsce; 6) rzecz do pisania; 7) miesiąc 8) prawy dopływ Wisły.

——IIII——

Kwadrat magiczny

Opracowała „Halinka z Będzina".

✱✱✱
✱✱✱
✱✱✱

W powyższy kwadrat wpisać odpowiednie wyrazy, tak by czytane we znaczeniu: 1) okres czasu; 2 na pionowo czy poziomo dały jednako rząd wzroku; 3) zwierzę.

Uśmiechnij się!

UPRZEJMY CHŁOPCZYK.

Starsza pani spostrzegłszy, że chłopczyk siedzący obok niej w autobusie ma mokry nosek— zapytuje·

— Czy nie masz chusteczki chłopczyku?

— Mam — odpowiada chłopiec. — Czy pani pożyczyć?



— Znamy się na tym, kto w domu jest do niczego, tego rodzice wysyłają na statek!

— Nie, panie kapitanie, dziś to już nie tak, jak było w latach pańskich!

——:o:——



Strażak oblewa swój ogród.